

Od specjalnego wysłannika „Nowego Świata”

WARSZAWA — pięć minut przed Złotem

Maria Mańkówna

Dziś jest niedziela, a więc jeszcze poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek i w sobotę... wyjazd. Kierunek Warszawa, cel — Złot!

Tak, zaledwie tydzień dzieli młodzież polską od wielkiego wydarzenia, od Święta Młodzieży.

Ale na czas wszystko będzie gotowe, gdyż nie na darmo organizatorami Złota są najlepsze głowy i najsprawniejsze ręce polskiej młodzieży. Lecz co tu dużo mówić — najlepiej słowa poprzeć konkretnymi. Dlatego nie tracimy czasu i przeniesmy się do Warszawy.

W poznańskim miasteczku

Jesteśmy na Rakowie „A”. Tu przy ulicy Żwirki i Wigury mieści się Poznańskie Miasteczko Złotowe.

Jak ono wygląda? — spyta. Na ogromnym, bo wielohektarowym puszystym trawniku rozciąga się las, dosłownie — las zielonych namiotów. Stoją one w równoległych szeregach, tworząc regularne ulice. Miasteczko dzieli się na trzy grupy dzielnic, w środku których znajdują się place apelowe. A dalej mieszczą się umywalnie z bieżącą wodą, oddzielne dla chłopów i dziewcząt. Jadalnie są pod gołym niebem, a urządzenia ich przypominają bary mleczne. Tuż za nimi kuchnie. Nowiutkie kotły są takich rozmiarów, że dorosły człowiek mógłby w nich wygodnie siedzieć! Nie zapomniano również o „samotnych domkach”, które przypominają raczej wille. W ogóle urządzenia poszczególnych miasteczek — bowiem każde województwo ma swoje własne — są bardzo proste lecz wygodne i estetyczne. Bo przecież młodzież przyjeżdża tu nie na luksusowe mieszkanie, lecz po to, by w prawie 300-tysięcznej gromadzie przeżyć niezapomniane chwile pełne radości i śpiewu.

Trzeba nam wiedzieć, że miasteczko poznańskie położone jest w jednym z najpiękniejszych miejsc. Prace zasadnicze są w tej chwili już na ukończeniu, co stawiane jest za wzór innym ośrodkom. Z tego względu, że miasteczko poznańskie leży prawie przy ulicy, musi ono być specjalnie pięknie udekorowane. A zatem młodzież poszczególnych dzielnic Wielkopolski winna przygotować ciekawe i pomysłowe dekoracje z akcentami regionalnymi, które winny mówić również o osiągnięciach poszczególnych powiatów czy ośrodków, bądź to w przemyśle, bądź w rolnictwie. Te dekoracje winny Wielkopolanie przywieźć z sobą i udekorować nimi miasteczko. Całości dopełnia flagi czerwone, białe, czerwone i niebieskie i dużo, bardzo dużo szturmówek, które na tle lipcowego nieba będą wyglądały jak rozkwitłe czerwone maki.

Suchy

i mokry program

A teraz z pewnością chcemy wiedzieć, co będziemy robić przez trzy piękne lipcowe dni. O tym myśli już od trzech tygodni Biuro Delegacji Województwa Poznańskiego, w skład którego wchodzi kol. Godlewski, Kędziński, Dębowski, Jakubczyk, Pawlak i koleżanka Kokoszanka. Oni to właśnie od wielu dni myślenia, dyskusji, sporządzają plany i wykresy — jednym słowem, na podstawie planu centralnego, układają program każdego dnia. Zadanie do łatwych nie należy, bowiem

programy muszą być tak ułożone i zharmonizowane, żeby nigdzie nie powstał jakiś korek, o co przy tylotyśnej rzeszy nie trudno. Dlatego każda delegacja województwa dzielić się będzie na brygady, grupy i zespoły, które będą miały swój własny program „suchy” tzn. obliczony na pogodę i „mokry” — na wypadek deszczu. Każde województwo ma taki swój sztab w Warszawie.

A teraz uchyłmy rąbką tajemnicy i zobaczmy, jakie czekają nas atrakcje w czasie Złota. Dzień 20 lipca: przodownicy naszego województwa udadzą się na stadion CWKS na uroczyste otwarcie Złota. Acha, na CWKS-ie i na tzw. Agrykoli mieści się miasteczko złotych naszych najmłodszych, harcerzy i harcerki. Tu właśnie odbędzie się uroczyste otwarcie Złota. W tym samym dniu przewidziane są cieka-

W dniu 22 lipca odbędzie się wielka defilada na MDM, którą odbierać będzie Prezydent Bierut.

My tu, a oni tam...

My tu podwajamy nasze wysiłki, podnosimy normy, by na Złot zawieźć piękne wyniki naszej pracy. A oni tam w Warszawie nie szczędzą wysiłków, by pobyt nasz uczynić jak najprzyjemniejszym i jak najbardziej atrakcyjnym. Do warszawskiego, gorączkowego tempa pracy przybyło jeszcze jedno — przygotowania do Złota. Miasteczka złotych imprezy — to nie wszystko. Młodzież i nie tylko młodzież budująca stolicę podjęła wiele ambitnych zobowiązań: oddania do użytku w dniu 22 lipca wielu gmachów i obiektów użyteczności publicznej. Zobowiązanie musi być wykonane. I dlatego lipcowe słońce, lejące z nieba słoneczny ukrop, nie

dało swoje młode siły i umiejętności na usługi Złota.

Kwatera brygady ochotniczej jest obóz na Bielanych. Szukamy naszych Poznaniaków, których w brygadzie jest 50. Zanim poznaliśmy o sobiście bohaterów przygotowaliśmy przedzłotowych, usłyszeliśmy wiele dobrego od dowództwa obozu.

— U naszych chłopów — mówi komendant — nie liczą się godziny pracy lecz jej ilość. Obojętnie czy noc czy dzień, zawsze gotowi i a każde zawołanie. Np. w czasie obiadu potrzeba nagle 30 ludzi do wyładowania wagonu. Na apel ogłoszony przez radiowęzeł staje 120! Hasłem ich jest: „Zawsze gotowi do pracy”.

Poznaniacy zajmują trzecie miejsce pod względem ilości ochotników. W brygadzie, podziału na dzielnice nie ma. Kompanie i plutony pracują w miasteczkach złotych. Oprócz tego pracują oni przy wielu obiektach, które mają być oddane do użytku w dniu 22.

Poznajmy teraz kilku najdzielniejszych Poznaniaków. Grupa kolegi Władysława Markiewicza ze Spółdzielni Produkcyjnej Pław w pow. Środa składa się z 6 osób i to wyjątkowo samych Wielkopolan. Wyrabiają oni przeciętnie od 350—500 proc. normy. Chłopcy uwielbiają wprost swego grupowego. Wysoki, ciemny, opalony na brąz, jak wszyscy ochotnicy, kol. Markiewicz mówi krótko: „Wiemy dla kogo i po co pracujemy. Organizacja powierzyła nam zadanie pracy dla przodowników Polski Ludowej, więc je wykonamy”.

Rozmawiamy również z innym Poznaniakiem, Józefem Wiśniewskim, z samego Poznania, który zadowolony jest bardzo ze swego pobytu w brygadzie ochotniczej i ma zamiar zostać na stałe w SP. Cała pięćdziesiątka Poznaniaków jest dzielna, ale wymienimy jeszcze nazwisko Teodora Ratajczaka ze Śremu, który wyrabia przeciętnie 400 proc. normy. Dzięki pracy, wzorowej postawie, awansował on ze zwykłego brygadzysty na zastępcę majstra i magazyniera na jednym z miasteczek. Jest to funkcja bardzo odpowiedzialna.

Młodość, zapał, entuzjazm i ofiarną pracę oddała mło-



Fragment miasteczka. Namioty już gotowe, czekają na przyjazd gości. Będzie wesoło w tylotyśnej gromadzie.

we pokazy lotnicze, występy grup artystycznych na Placu Dzierżyńskiego i Rynku Mariensztackim, wizyta u Łódzian w ich miasteczku. Oprócz tego Poznaniacy u siebie podejmować będą gości z Chin Ludowych, Anglii, Indii oraz młodzież opolską i miast Warszawy.

21 lipca: zwiedzanie Warszawy. Dalej — spotkanie w Łazienkach z artystami sceny i filmu. W programie jest również Służewiec, na którym odbędzie się wielki wiec, imprezy sportowe, zawody motocyklowe i wyścigi hipiczne. W tym dniu zwiedzą my również Zakłady Ursusa. Młodzież nasza gościć będzie u siebie przodowników pracy z MDM i Pałacu Kultury, a także spotka się z młodzieżą mongolską, szwajcarską, duńską i pakistańską. Miłośnicy piłki nożnej zobaczą mecz Polska — Rumunia, a dla miłośników teatru stoja do dyspozycji teatry warszawskie.

Karnawał na Wiśle

— to jedna z najwspanialszych imprez Złota. Po obu stronach rzeki zgromadzą się uczestnicy. Najpierw odbędzie się defilada floty, potem regaty i wyścigi łodzi motorowych, no i wspaniały pokaz ogni sztucznych. Oprócz tego wiele młodzieży pojedzie statkami, na których odbędą się występy i zabawy taneczne. W ogóle na każdym prawie kroku odbywać się będą występy artystyczne i zabawy taneczne na specjalnych estradach. Czy wiecie, że w razie deszczu (odpukać!) wielka zabawa odbywać się będzie m.in. w tunelu Tras, W—Z? Cała prawie Warszawa jest już radiofonizowana i pokrywa się estradami ogromnych rozmiarów.



Grupa kol. Markiewicza godnie reprezentuje Poznań w Warszawie. Jest bowiem jedną z najdzielniejszych spośród ochotników budujących Złot. Członkami jej są: Jan Szperek z Leszna, Alfred Rosiński — Poznań, Tadeusz Parchowicz — Gnieźno, Bolesław Pielak — Trzcianka, Jan Wrotkowski i Władysław Markiewicz — Poznań.

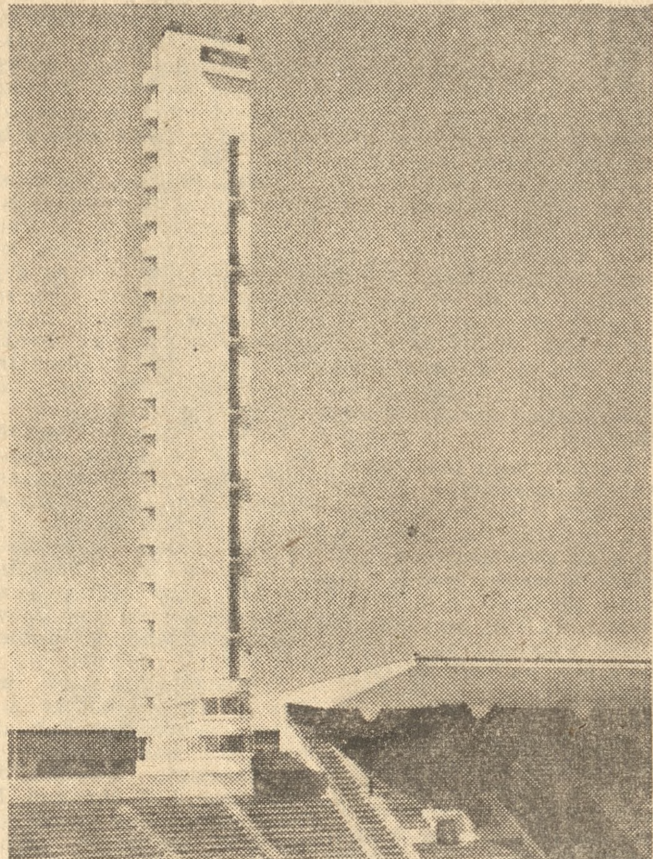
cie to sami. Nic więc dziwnego, że tędy właśnie pójdzie w dniu 22 lipca wspaniała defilada.

A jako pierwsi

w defiladzie pójdą ogorzali, uśmiechnięci chłopcy z ochotniczej brygady. Ich to właśnie ręce przygotowują Złot budując Warszawę. Chłopcy są z całej Polski. Ochotnicze zgłosili się do brygad na apel ZG ZMP i od maja od-

dać dla Złota. Warszawa przoduje i cały kraj nie pozostaje za nią w tyle. Zewsząd napływają meldunki o przekraczaniu norm, o wykonaniu zobowiązań, o wielkich oszczędnościach. Wszystko na rzecz Złota. Nagroda będzie równa wysiłkowi — przekonacie się sami.

A zatem — do zobaczenia koleżanki i koledzy, za pięć dni w Warszawie!



Fot. T. Pasikowski

Stadion — Wieża Maratońska

ZNICZ OLIMPIJSKI jest SYMBOLEM POKOJU

Już w roku 776 przed naszą erą starożytni Grecy dali początek pierwszemu igrzyskom sportowym. Odbierały się one na górze Olimpia — stąd nazwa Olimpiady. Grecja podzielona była wówczas na 200 miast — państw, które bardzo często wiodły z sobą krwawe boje. Ale w chwili, gdy zapłonął znicz olimpijski, ustawała walka poważniejszych miast greckich i najbardziej zazdrci przeciwnicy podawali sobie dłonie. Toteż znicz olimpijski od samego początku stał się symbolem pokoju, symbolem pokojowej rywalizacji zrzeczności i siły.

Od 776 roku igrzyska olimpijskie odbywały się co 4 lata przez 294 razy, aż do roku 396 nowej ery, kiedy to zostały zniesione przez Teodorzusa Wielkiego. W mrokach średniowiecza zamarło życie sportowe, do chwili, kiedy z braskiem nastającego XX stulecia zaczęto na nowo mówić o igrzyskach. Propozycja wyszła z Francji, inicjatorem był Piotr de Coubertin, ułożony archeolog, który studiując życie starożytnych Greków wpadł na pomysł wznowienia igrzysk. Powołał do życia Międzynarodowy Komitet Olimpijski (C. I. O.) i był jego prezesem przez 25 lat. Komitet musiał przezwyciężyć szereg piętrzących się trudności, zanim doprowadził do zorganizowania pierwszej nowoczesnej Olimpiady, która odbyła się w Atenach w 1896 r. Druga olimpiada odbyła się w 1900 roku w Paryżu, a trzecia — w roku 1904 w St. Louis. Następne igrzyska w 1908 r. miały odbyć się w Rzymie, ale zaproszenie zostało odrzucone, ponieważ ówczesny rząd nie chciał wyasygnować potrzebnych środków. Toteż stolicę włoską zastąpił Londyn. Następne igrzyska odbyły się w 1912 r. w Sztokholmie, a w 1920 r. w Antwerpii.

Wreszcie w 1924 r. — po wtórnie Paryż. Polska zdobyła tam srebrny medal dzięki drużynie kolarskiej w wyścigu na 4000 m i brązowy medal za konkurs skoków (hippika). W roku 1928 w Amsterdamie reprezentacja nasza zdobyła 1 złoty medal dla Polski w rzucie dyskiem kobiet (Konopacka), srebrny

medal w konkursie skoków hipicznych oraz 3 brązowe: szampionat konia (hippika), czwórka ze sternikiem (wioslarstwo) oraz w szablach drużynowej (szermierka).

Los Angeles 1932 — przynosi nam dwa dalsze złote medale: w biegu na 10 000 m (Kusociński) oraz 100 m kobiet (Walsiewiczówna); dalej — srebrny medal w dwójce ze sternikiem (wioslarstwo) oraz cztery brązowe medale: rzut dyskiem kobiet (Wajsówna), dwójka bez sternika (wioslarstwo), czwórka ze sternikiem (wioslarstwo) i szabla drużynowa.

W Berlinie w 1936 r. ekipa nasza zdobywa ogółem 6 medali. Srebrne — za bieg 100 m kobiet i rzut dyskiem kobiet oraz za szampionat konia w hippie, brązowe — za oszczep kobiet, dwójkę bez sternika (wioslarstwo) oraz karabin małokalibrowy.

Następuje przerwa 12-letnia z powodu drugiej wojny światowej. W 1948 r. odbywa się XIV Olimpiada w Londynie. Sport nasz poniosł ciężkie straty w latach okupacji hitlerowskiej. Mimo to młody, odradzający się dopiero sport polski, przy silnej konkurencji (startowało ponad 6 000 zawodników i zawodniczek) zdobywa brązowy medal w boksie (Antkiewicz — waga piórkowa) oraz punkty za dalsze miejsca.

Nadchodząca Olimpiada będzie XV z kolei olimpiadą nowoczesną. Piętnastą tylko teoretycznie: nie odbyły się bowiem — VI w roku 1916 w Berlinie, XII w 1940 r. w Helsinkach i XIII w roku 1944. Przeszkodziły temu szalejące wojny. Ale ich numeracja została zachowana, podobnie jak w starożytności, kiedy każde igrzyska miały swoją numerację, a czterolecie między igrzyskami było nawet dla Greków miarą czasu.

Olimpiady stanowiły niezaprzeczenie wielki krok naprzód w rozwoju sportu. Jednakże w czasie trwania tych tak krótkich dni „święta braterstwa ludzkiego” pewne epizody odkryły prawdziwe oblicze niektórych „obrońców cywilizacji zachodniej”.

W Londynie w 1908 r. w biegu na 100 m pewien Murzyn musiał 13 razy zrywać się do (Ciąg dalszy na str. 2)

Żagle na Błędnym

Tadeusz Pasikowski

W naszych niedzielnych wędrowkach po najpiękniejszych miejscowościach Wielkopolski nie możemy pominąć Zbąszynia — nie wielkiego miasta w powiecie nowotomyskim. Zbąszyn leży na zachodnim krańcu płyty poznańskiej niezwykle bogatej w jeziora i lasy. Na przestrzeni obejmującej trzy powiaty rozlewa się łańcuch przeszło 50 jezior. Największe z nich, bo liczące 49 m, jest Jezioro Śremskie pod Sierakowem, a największe — Zbąszyńskie, zwane dawniej Błędnym.

Liczące około 5000 mieszkańców miasteczko ciągnie się długą i wygiętą w łuk ulicą pryncypalną, zaczynającą się przy dworcu a kończącą za wstęgą metnej i leśniczki płynącej Obry. Kilka naciągów wąskich bocznych uliczek wyprowadza nas każdorazowo na podmiejskie ogródki, pola, łąki lub nad wodę.

Najciekawszy zakątek Zbąszynia kryje się na długim i wąskim półwyspie pomiędzy korytem Obry a jeziorem. W miejscu tym, łatwym w dawnych wiekach do obrony, wznosił się przez długie stulecia silny zamek, umocniony od południowo-zachodniej strony wysokim wałem i fosą. Dzisiaj rozciąga się w tym miejscu uroczy Park Miejski, w którym wśród starych dębów, kasztanów, lip i topoli kruszeją resztki zabytkowych murów zamkowych i stara, renesansowa brama wjazdowa. Ślady fos



Stroje ludowe z okolic Zbąszynia należą do najpiękniejszych w Wielkopolsce.

i wałów są jeszcze całkiem wyraźne. Cieniste aleje i ganki wywołują nastrój zadumy — warto więc spocząć pod rozłożystymi konarami starzych dębów i pomarzyć o minionych wiekach.

Zmienne i ciekawe są dzieje Zbąszynia. Jako osada znany już był w XI stuleciu, lecz dopiero w dwa wieki później awansował do rangi kasztelanii. Będąc opolem i posiadłością królewską przeszła w XV stuleciu, w drodze darowizny, w ręce Zbąskich. Potem właścicielami jego stali się Cłwicy, a w końcu Garczyńscy. Wszystkie te rody niewiele zrobiły dla miasta i jego mieszkańców — jedynym światłowodem umysłowym był wojewoda poznański Stefan Garczyński, żyjący w połowie XVIII wieku, autor reformistycznego dzieła pt. „Autonomia Rzeczypospolitej”. Po rozbiorach Zbąszyń sprzedany został magnatom niemieckim.

Zamek przechodził także różne koleje. W r. 1439 szukało w nim schronienia 5 księżów husyckich. Niestety Abraham Zbąski, należący ze Spytakiem z Wolsztyna do czołowych przywódców husytów w Polsce, zmuszony został do wydania księży biskupowi Andrzejowi z Błyna, który obiegł zamek z zamiarem zniszczenia gniazda heretyków. W r. 1655 zamek zdobyty został przez Szwedów. O jego wyposażeniu w tym czasie świadczy fakt, że zdobywcę wywieźli z niego samej broni za 500 000 złp. Wzmocniony i przebudowany dochował się w dość dobrym stanie aż do 1907 r.,

w którym ówczesna jego właścicielka niemiecka — Jadwiga Klitzing kazała go wysadzić w powietrze. Pozostała po nim brama uclerpiła wreszcie w czasie walk w latach 1918—19.

Tuż za parkiem ciągnie się długi szereg wyschniętych i nie wykorzystanych, niestety, stawów rybnych. Groble, wały i przepusty nie są zbyt zniszczone, a remont ich nie wymagałby wielkich nakładów — byłoby więc bardzo wskazane by urządzeniami zainteresowali się specjaliści z dziedziny hodowli ryb.

Za tymi stawami rozlewa się szerokie lustro Jeziora Zbąszyńskiego. Zmarszczone drobną falą wody iskrzą się w promieniach słońca, jak olbrzymia misa wypełniona płynnym srebrem. Podłużna niecka jeziorna ciągnie się prawie 7 km ku południowi, mierząc w najszerszym miejscu około 2 i pół km.

Szeroka przestrzeń wodna i wiejące wiatry stanowią dobre warunki dla rozwoju istniejącego już w Zbąszyniu ośrodka żeglarskiego Ligi Morskiej. Na Błędnym oglądać można sporo łodzi żaglowych płynących majestatycznie po spokojnych lub wzburzonych wodach. Na skromnej przystani, obok zadrzewionego ośrodka zwanego „Dąbkami”, roi się również od zwykłych łodzi ćwiczebnych. Raz w roku odbywają się na jeziorze zawody żeglarskie i piwackie.

Od strony miasta ciągną się brzegiem wód czysto utrzymane planty. Dojdziemy nim do małych, lecz wzorowo urządzonych Łazienek Miejskich. Drewniane pawilony, kryte trzcinową strzechą, mieszczą w sobie szatnie, kabiny i punkt sprzedaży napojów chłodzących. O czystości i całości urządzeń



Fot. (2) K. Olejniczak — Zbąszyń
Fragment z Parku Miejskiego

dba tutaj pracownik MRN — Paweł Wichrowski. Dzięki jego staraniom na plaży nie brak huśtawek dla dzieci i łodzi spacerowych dla dorosłych. Wichrowski stara się teraz o drobny fundusz na urządzenie boiska do siatkówki.

Za skromną opłatą mogą wycieczkowicze wypożyczyć łódzie by wypłynąć daleko na jezioro i poznać jego bogatą faunę i florę. W przybrzeżnych pasach trzcin i tataraku, w haszczach i szuwarach słychać trzask płaszczyzny wodnego. Prócz pospolitych dzikich kaczek i perkozów wypatrzyć można czasem rzadką już w Wielkopolsce czapkę siwą lub zalatujące tu w niektórych porach roku — tataraku, w haszczach i szuwarach słychać trzask płaszczyzny wodnego. Prócz pospolitych dzikich kaczek i perkozów wypatrzyć można czasem rzadką już w Wielkopolsce czapkę siwą lub zalatujące tu w niektórych porach roku — tataraku, w haszczach i szuwarach słychać trzask płaszczyzny wodnego.

dry i rozpowszechniające się coraz bardziej piżmowce. W pobliżu jeziora ciągną się ciekawe dla ludzi z miast — plantacje wikliny.

Region zbąszyński słynie w końcu z pięknych strojów ludowych. Szczególnie ubiór chłopów z okolicznych wsi, charakteryzujący się bogatymi haftami i oryginalnym krojem spodni i staników, wzbudza powszechny podziw. W dni świąteczne nie trudno spotkać na ulicach Zbąszynia strojne w bogate czepe i fartuchy kobiety.

Z żalem żegnamy Zbąszyń i jego „małe morze”, nad którym w chłodne wieczory snują się niebieskie mgły. W nastrojowej ciszy, jaka wtedy nastaje, usłyszeć można plusk rzucających się nad wodę ryb, gardlane kwaczenie kaczorów i monotonny koncert kumkających żab.

Warto o tym powiedzieć, choć rzecz jest grubymi nićmi szyta

Jan Makowski

Przyspieszenie tempa faszycyzacji państw — satelitów USA — jest charakterystyczną cechą obecnej doby. Jeżeli się przejrzy listę tych marionetkowych trabantów, galopujących przeważnie w odwodzie, wówczas można zauważyć, że w większości krajów stojących w orbicie Waszyngtonu, partia komunistyczna jest zdelegalizowana lub prześladowana, a socjaliści w mniejszym czy większym stopniu po odegraniu swej dwulicowej i zdradzieckiej roli, zostali „wykiwni” i odstawieni na bok.

Co najmniej w trzech spośród owych państw widać wyraźnie reżimy faszystowskie — Portugalia, Grecja i Turcja. Chociaż oficjalnie nie są jeszcze partnerami w sprzysiężeniu wojennym, mimo to w zasadniczych planach agresji, mają z góry rolę przydzieloną. Ich rządy nie ukrywają zresztą tego. Do ustrojów o podobnej strukturze zaliczyć należy jawnie faszystowską Hiszpanię, tytułową Jugosławię — rzecz jasna — Koreę południową oraz większość republik południowo-amerykańskich.

W tych państwach przykrawanych na modłę „wolnego świata”, obywatele czują się w ten sposób, że — wyrażając się słowami byłego francuskiego ministra spraw zagranicznych Bidault — zbudzeni ze snu wczesnym rankiem, nie wiedzą, czy to jest na pewno dzwonek młeczara.

Władza w tych krajach znajduje się w rękach wielkiego kapitału, wspomagane przez kastę biurokratów i wszechwładnej policji, zorganizowanej na wzór amerykańskich i pozostającej w służbie USA. Równocześnie

jest niezwykle charakterystyczne, że w państwach pokroju włoskiego, portugalskiego czy zachodnio-niemieckiego — nie mówiąc już o Ameryce Łacińskiej — wpływ wszechstronny Watykanu jest ustalony. Taka jest logika „krucjaty antykomunistycznej” i takimi drogami chodzą „przedziwne” powiązania.

Krótko mówiąc, z wyjątkiem kilku państw w tym sprzysiężeniu, jak Islandia, Norwegia czy Wielka Brytania (w tej ostatniej, pewne rodzime formy zaślizgniętego konserwatyzmu są jeszcze tolerowane!) — powiedzieć można, że koalicja tzw. wolnego świata, obejmująca te wszystkie kraje, w których zasady Karty Atlantycznej figurują jedynie na papierze.

Polityka Waszyngtonu ma to do siebie, że jej szamani, głosząc ideę wolności, czynią to w sposób szokujący. Przeciwny obywatel zachodnio-europejski z kosmopolityczną mentalnością nie jest w stanie uchwycić całego arsenału trików reklamarskich, poza którymi ukrywa się zimny faszizm, oparty na wyrafinowanych przesłankach.

Byłoby grubym błędem przypuszczać, że faszizm poznać można od razu po aparaturze zewnętrznej. Do tego nie są wcale potrzebne parady norymberskie. W wydaniu amerykańskim jest on trochę inny. Tak np. w Stanach Zjednoczonych partia komunistyczna jest legalna, co nie przeszkadza, że jej przywódcy znajdują się w więzieniu. Również jej członkowie oraz należą do organizacji postępowych czy chociażby sprzyjających innemu poglądowi, aniżeli wyznaje Biały Dom — żyją w ciągłej obawie oskarżenia o spisek przeciwko bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych. W każdej chwili mogą być ścigani i aresztowani. Praktycznie żyją w wolności mocno iluzorycznej. Ten system amerykańskich środków wolnościowych jest cechą faszizmu atlantyckiego — w nowym wydaniu. „Udoskonalonym”, liczącym na uspienie szerokiej opinii światowej oraz na jej rozbrojenie. Ostatecznie obozy koncentracyjne są już gotowe, a kartoteki FBI wzorowo zaprowadzone, z odciskami palców wszystkich prawie obywateli.

Chwyty stosowane przez przywódców Waszyngtonu Pentagonu i Wall Street są dla Europejczyków może i nowe. Jednak tak grubą nicią szyte, że nie trudno je dostrzec. Dostrzega je, szczególnie nieomylny, instynkt człowieka pracy, który musi zwyciężyć!

ZNICZ OLIMPIJSKI jest SYMBOLEM POKOJU

(Dokończenie ze str. 1)

startu, tak że za 14 razem, wyčerpany już, nie miał siły aby zwyciężyć.

W roku 1912, do Komitetu Olimpijskiego nadeszła nota rządu CK Austrii, protestująca kategorycznie przeciwko temu, by Czesi i Węgrzy brali udział w Olimpiadzie sztokholmskiej pod barwami własnych narodów. Jak wiadomo, narody węgierski i czeski nie miały wówczas niepodległości i żyły pod władzą monarchii Habsburgów. Komisja odrzuciła ten szowinistyczny wniosek, Czesi i Węgrzy wystąpili w imieniu swego narodu.

W Berlinie w 1936 r. Hitler opuszczył trybunę honorową przed wręczeniem nagród, aby nie uścisnąć ręki wielkiemu mistrzowi sprintu, Murzynowi Jessie Owensowi, który wygrał bieg na 100 i 200 m oraz skok w dal.

Do tegorocznych igrzysk, po kataklizmie, który szalał na świecie, zgłosiły się wszystkie narody świata, również Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej.

J. A.

BURZE i HURAGANY

Niewinny, lekki wietrzyk, ochładzający nas w upalny letni dzień, nierzaz zamienia się w burzę lub huragan i wówczas staje się groźny, niebezpieczny. Na lądzie burza wyrwca z korzeniami drzewa, zrywa dachy, a na morzu wywołuje wzburzenie fal, bardzo niebezpieczne dla małych statków i utrudniające żeglugę wielkich.

Jak powstaje burza? Jak wiadomo, przyczyną wiatru jest nierówny stopień nagrzewania powietrza, wywołujący różnicę w ciśnieniu atmosferycznym. Nad silnie rozgrzaną powierzchnią odcinka ziemi, powietrze się rozszerza, staje się lżejsze i podnosi w górę, a na jego miejsce napływa chłodne powietrze z okolic sąsiednich, mniej ogrzanych promieniami słońca. Tak powstaje wiatr i jeżeli różnica ciśnienia jest bardzo wielka, dmie on z ogromną szybkością, tworząc burzę.

W większości wypadków powstawanie burz połączone jest z ogostawianiem wicherami atmosferycznymi — cyklonami. Cyklony powstają w strefie zderzenia mas powietrznych — ciepłych z zimnymi. Zauważono, że cyklony tj. wirujące wokół silne prądy, powstają najczęściej w rejonie Islandii, gdzie zimny prąd grenlandzki zderza się z ciepłym

Golfstromem. Tu jest źródło cyklonu. Stąd cyklony płyną na wschód i południowy-wschód, przecinają zachodnią Europę i dostają się już osłabione na teren Polski. Niektóre cyklony powstają nad morzami: Śródziemnomorskim, Czarnym i Kaspijskim, skąd idą na północ i północny-wschód.

Centrum cyklonu, w którym od czasu do czasu pokazuje się słońce, można odnaleźć według kierunku wiatru. Istnieje prawidło, znane wszystkim marynarzom: „jeżeli stanieniem twarzą do wiatru, ośrodek cyklonu będzie po naszej prawej ręce”. Pozwala to marynarzom orientować się na morzu i unikać najniebezpieczniejszej części cyklonu. Średnica cyklonu może wynosić 2—3000, a nawet więcej kilometrów. Gdy burze cyklonowe przechodzą nad pustynią, podnoszą i przenoszą na ogromne przestrzenie masy pyłu piaskowego. W 1901 roku cyklon, idący z Sahary przyniósł do Polski czerwony afrykański pył, posunął się dalej na północny-wschód i zasypał Ural pyłem afrykańskim.

Gdy ma nadciągać burza na morzu, meduzy pomimo, że czlowiek nie dostrzega żadnych oznak, ukrywają się na dnie morza.

Czym różnią się szkwały od cyklonu? Nagłym, silnym zrywem wiatru i szybkim jego wyczerpaniem. Pod względem jednak siły działania szkwały nie tylko dorównują cyklonom, lecz nawet je przewyższają. Jest to gwałtowne uderzenie wiatru. Badaniem szkwałów zajęto się z końcem XIX wieku, gdy silny szkwał w ciągu czterech minut dnia 24 marca 1878 roku zatopił wielką fregatę angielską u wybrzeża Anglii. Gdy zebrano informacje o tym szkwale, okazało się, że szedł on pasem długości 700 km i szerokości tylko 2 do 3 km, ale z siłą 90 km/godz.

Na Dalekim Wschodzie tropikalne cyklony nazywają się tajfunami. Powstają one na morzach Południowo-Chińskim, i Japońskim. Tajfuny szaleją w sierpniu i wrześniu, po okresie pięknej pogody, jasnego nieba i słabych wiatrów. Wyrządzają one ogromne szkody w Japonii. W 1949 roku tajfun zatopił 1300 łodzi rybackich i 1000 rybaków zginęło w morzu.

Oprócz huraganu, pochodzenia cyklonowego, na kuli ziemskiej zrywają się tu i ówdzie burze lokalne, krótkie w swym zasięgu. Nad zatoką Noworosyjską na Kaukazie, szaleje często burza zwana borą. Zrywa się nagle, temperatura powietrza spada z 7—8° C do 15—20° mro-

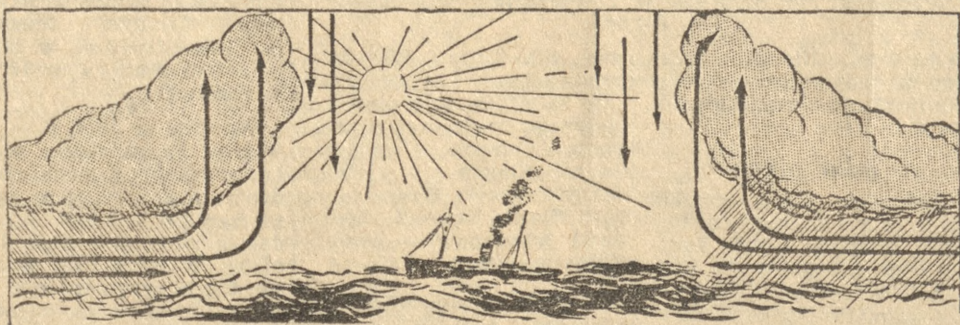


Widok tajfunu w wyobraźni japońskiego artysty.

zu. Porywy wiatru, sięgają 50 do 60 m/sek.

Na działanie silnych wiatrów najbardziej wystawiona jest Antarktyka. Tam, na Ziemi Adeli, silny wiatr zbija ludzi z nóg. Chodzi się tam tylko w postaci półzgitętej, w obuwiu okutym ostrymi gwoździ. Ostre, drobne cząsteczki śniegu, pędzą z taką szybkością, że zardzewiały łańcuchy, noże i inne metale, pozostawione na powietrzu przez 2—3 dni blyszcza jak nowe. Wiatr cichnie tylko na chwilę, po czym wieje z nową siłą. Rejon Ziemi Adeli ma nazwę Bieguna Wiatrów.

Nad badaniem zjawisk burz pracują zgodnie meteorolodzy, aerolodzy, hydrododzy i synoptycy (dający ogólny przegląd stanu pogody). Przepowiednie burz i huraganów stanowią jeden ze sposobów walki z żywiołowymi siłami przyrody. Najlepszym środkiem przeciwko burzom pustynnym i pyłowi cyklonowemu jest nawadnianie i zraszanie obszarów pustynnych oraz zalesianie pasami ochronnymi wielkich równin, co dzieje się już z powodzeniem w Związku Radzieckim. (th)



„Oko burzy” — środkowa część tropikalnego cyklonu. Strzałki wskazują kierunek ruchu wietrznych potoków. W środku cyklonu — silne fale powietrza idące ku dołowi odstawiają na chwilę słońce.

Kilka słów o Leonie Wyczółkowskim

Jan Mroziński

Wśród licznej plejady naszych talentów plastycznych z końca XIX wieku i początku XX w. Leon Wyczółkowski występuje jako zupełnie odrębna i osobliwa indywidualność. Jego znakomite dzieło, jakie nam pozostawił, obok niezwykle bogatej tematyki, obejmuje wszystkie niemal rodzaje, bo malarstwo olejne, akwarelowe i pastelowe. W grafice uprawiał również wszystkie techniki z wyjątkiem drzeworytu — a w litografii, którą to technikę szczególnie sobie umiłował, był mistrzem na miarę światową. Wyczółkowski był wiecznie młodym. Gdybyśmy spojrzeli na, drgające młodzieńczym nerwem, dzieła jego z lat ostatnich, trudno byłoby uwierzyć, że wykonał je... 85-letni „starzec”. Bo też przywilejem mistrzów tej miary jest wieczna młodość, która odwiosny życia, w miarę upływu lat, jedynie różni się doświadczeniem i coraz to celniejszym mistrzostwem. Twórczość jego miała charakter żywiołowy. Tworzył, bo musiał tworzyć — z taką samą przyrodniczą koniecznością, jak drzewo rodzi o-

Ukraina — impresjonizm i pleneryzm

W takich warunkach szybko dojrzewał talent artysty, tak, że kiedy Pankiewicz i

robotniczych a w literaturze okres pozytywizmu. Wokół postępowego tygodnika „Wiedź” gromadzi się grupa wybitnych artystów, krytyków i publicystów z Witkiewiczem i Sygietyńskim na czele. Rozpoczyna się walka o rzetelne, realistyczne malarstwo (prawdopodobnie oddziaływały tu również analogiczne ruchy w ówczesnym malarstwie rosyjskim) jako opozycja przeciw skostniałemu akademizmowi i przeładowaniu obrazu kostiumem historycznym. Pod wpływem takiej atmosfery wyzwała się w artyście świeżość odczucia natury i malarski temperament, tak charakterystyczny dla jego indywidualności. Odrzucił on w tym czasie („Ujrzałem raz”, „Wspomnienie”, „Stary grajek”) malowane z dużym artyzmem i wdziękiem, znakomite w rysunku, dawały wnikliwą charakterystykę życia ówczesnych sfer zamożnego mieszczaństwa warszawskiego.

Kraków — odkrycie Tatr i piękna zabytków

Te studia ukraińskie tak ugruntowały i wzmocniły pozycję malarza wśród kół artystycznych, że Fajet, organizując krakowską Akademię Sztuk Pięknych po śmierci Matejki, powołuje Wyczółkowskiego na katedrę malarstwa (r. 1895). Teraz zaczyna się nowy okres o niezwykle bogatej i wszechstronnej twórczości. Powstaje najpierw szereg znakomych portretów olejnych i pastelowych wybitnych artystów i literatów jak np. Kasprzycza, Żeromskiego, Chełmońskiego, Juliusza Kossaka i innych. A wśród nich znany „Portret prof. Rydygiera w otoczeniu asystentów”.

Na ten okres przypada również „Odkrycie Tatr”. Tematu tego próbowali już przedtem Gerson, Kotsis, Mroczkowski, ale dopiero pierwszy Wyczółkowski namalował Tatry tak, jak nikt do tej pory. Dał w malarstwie to, co w poezji stworzył współcześnie Tetmajer i Kasprzycza. Sławnie były w Zakopanem te wyprawy „Pana Wyciółkowskiego” jak go nazywali górale. Cała karawana szła w teren z profesorem. Górale nieśli na plecach stalugi, blejtramy i papiery. Wyczółkowski całe tygodnie wysiadywał w górach i z nieustępliwym uporem „wgryzał się” w arcytrudny krajobraz. Pościągła go największa ponura dzikość, posągowość zwalów skalnych, wśród których „pawiołkie drzewia stawy” i opadają ku dolinom jasne wstęgi piargów. Te niezwykle barwne i nastrojowe, pastelowe impresje i sumiennie opracowane obrazy olejne („Morskie Oko”) stanowią bardzo poważną pozycję w historii naszego malarstwa pejzażowego.

Również z prawdziwym plecyzmem podchodził artysta do innej, diametralnie odmiennej tematyki, jaką są

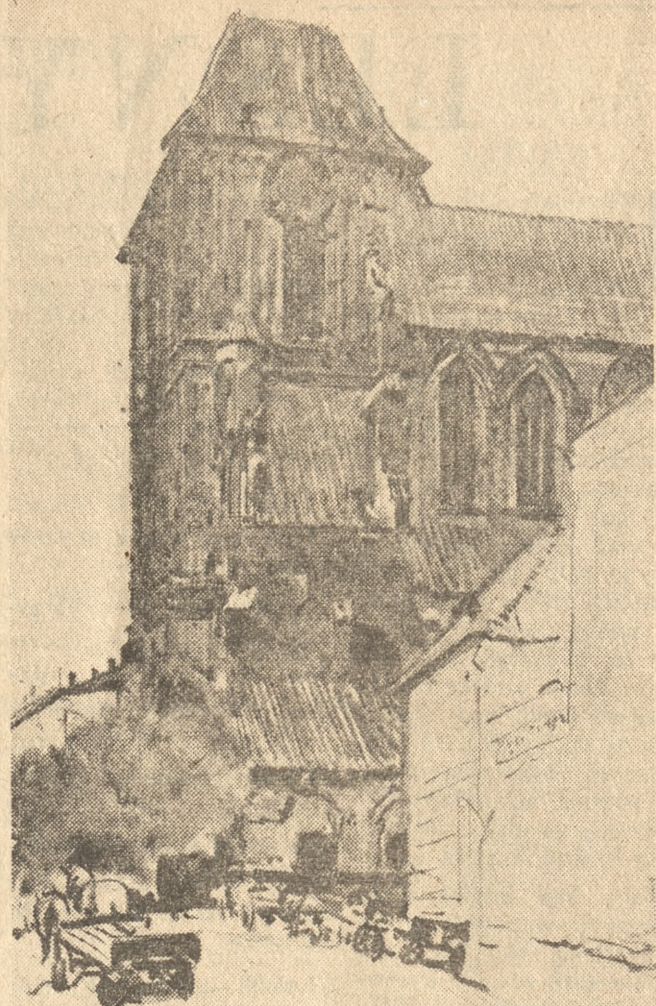
delikatnym ornamentem zdobionych, fragmentach renesansowych szczególnie był rozmówiany. Również kościół Mariacki, ołtarz Wita Stwosza, Wisła z widokiem na Wawel, stały się tematem jego rysunków i lekko pokolorowanych akwarel. Wdzięk i prostota środków technicznych tych świetnych impresji przywodzi na myśl arcydzieła sztuki japońskiej. I na tym odcinku artystycznego krajoznawstwa daje upust swej pasji rysowania tak na papierze jak i kamieniu litograficznym. Ta technika powielania ułatwia mu upowszechnienie wśród szerokiego ogółu piękna zabytków nie tylko Krakowa, ale i całej Polski. Tak powstają sławne jego „Teki” Warszawy („Stare Miasto”), Wilna, Lublina i Sandomierza. Gromadzą one najcenniejsze skarby naszej przeszłości i odznaczają się niezwykłą dokładnością i precyzją rysunku, wycuciem charakteru i piękna zabytku i oryginalnym ujęciem motywu. Twórczość graficzna Wyczółkowskiego wymagałaby szerszego omówienia, tak jest bowiem wszechstronna i bogata.

Poznań i Gościeradz

Również szczegółowiej należałoby potraktować kilkulatni pobyt artysty w naszym mieście, dokąd przeniósł się na stałe w roku 1929, dojeżdżając stąd do letniej siedziby w Gościeradzu. Z tym okresem łączą się nie tyle rysunki i litografie, stosunkowo skromnych zabytków Poznania, ile raczej „Dęby w Rogalinie” i „Modele” z parku gościeradzkiego. Bawiem nasze drzewa, ich krasa i bogactwo form, to znówu osobna karta twórczości mistrza. Rysuje potężne pnienie dębów, ich rozłożyste i fantastycznie poskręcane konary, dźwigające bogatą koronę gałęzi i liści — czy też sławne cisy w parku gościeradzkim i aleje brzoź. Poznań był dla Wyczółkowskiego punktem wypadowym na motywy w Toruniu, Chełmie, Koronowie i Gdańsku. Były to materiały dla „Tek pomorskich”, opracowywane w Poznaniu.

Od roku 1933 dojeżdża do Gościeradza do Warszawy, gdzie prowadzi po śmierci Skoczylasa katedrę grafiki. I na tej placówce nagle zastała go śmierć.

Do ostatniej chwili na posterunku, cały wspaniał



„TORUŃ SW. JAN” (tusz)

Ze zbiorów (3) Muzeum Miejskiego w Bydgoszczy

W „Państwie Słońca” mówiono po... polsku

Dr T. Nożyński

Nie brak w dziełach ludzkości reformatorów ustrojów społeczno — politycznych. Wśród nich ciekawą grupę stanowią tzw. utopiści, autorzy fantastycznych projektów doskonałego, idealnego państwa. Ich prace, ujęte w formę dialogów, pamiętników lub opowieści, cieszyły się nieraz dużą poczytnością. Wspólną ich cechą był zbyt idealny, niewykonalny w praktyce obraz wymarzonego szczęśliwego życia. Pewne jednak zasady i myśli utopistów były dążeniem do postępu i z czasem się zrealizowały jak np. równouprawnienie kobiet, powszechne nauczanie itp.

Poczet wybitnych nowożytnych utopistów otwiera angielski pisarz i polityk Tomasz Morus (More) — (1480 — 1535), jako autor wydanej w roku 1516 „Utopii”, pierwszej w swoim rodzaju fantastycznej wizji polityczno-społecznej. Od tytułu „Utopia” wziął nazwę cały ten kierunek — utopizm. O „Utopii” Morusa napisano wiele rozpraw naukowych i krytycznych, z których największą wartość zachowała do dzisiaj książka K. Kautsky'ego „T. Morus i jego Utopia” (polski przekład, wydana przed kilku laty).

Jednym z poważniejszych utopistów po Morusie był włoski mnich i filozof Tomasz Campanella (1568 do 1639). Niezwykle utalentowany, zdobył olbrzymią wiedzę i już w bardzo młodym wieku był chlubą zakonu Dominikanów. Nie mogąc jednak pogodzić oryginalności i niezależności swych poglądów i bujnego temperamentu polemicznego z wymogami reguły klasztornej, wystąpił z zakonu i przez szereg lat wędrował po Europie, wygłaszając odczyty i walcząc o nową, postępową filozofię i naukę (był też zdolnym matematykiem i przyrodnikiem). Za udział w spisku przeciwko rządowi hiszpańskiemu w Neapolu i wystąpieniu przeciw Jezuitom został uwieczniony. W więzieniu spędził 27 lat (1600 — 1626). P. uwolnieniu przeniósł się do Francji, wstąpił ponownie do Dominikanów w Paryżu i tam umarł w roku 1639.

W długoletnim więzieniu obmyślił i napisał utopijny

dialog pt. „Civitas Solis” (Państwo Słońca). Przedstawia nam idealne państwo na wyspie, rządzone przez kapłanów pod najwyższą władzą tzw. Metafizyka. Opisuje dokładnie zajęcia, ubiory, wierzenia i wychowanie mieszkańców wyspy. Nie ma tam różnic społecznych ani wyzysku klasowego, miarą wartości człowieka jest wiedza i praca. Wszelka własność jest wspólna. Dużą wagę przywiązuje się do ćwiczeń fizycznych. W ogóle jednak cały ustroj i życie są ujęte w sztywne przepisy klasztorne jakby regulaminu. Jednakowy ubiór, wspólne posiłki, podział zajęć — przypominają życie zakonne. Piszac swą utopię, zapomniał autor, że sam w młodości buntował się przeciw klasztornej schematyzacji i nudał swemu państwu zabarwienie teokratyczne. Mimo to zawarł on w tej pracy wiele myśli postępowych. Nie uznawał np. niewolnictwa, które jeszcze spotykamy w „Utopii” Morusa.

Ciekawe są też uwagi i pomysły wychowawcze Campanelli. Nauczanie dzieci radził zaczynać wcześniej, już od drugiego roku życia i to metodą zabaw i pokazów. W państwie Słońca widać na murach miasta wielkie kolorowe obrazy zwierząt, roślin, mapy, sceny z życia i pracy, które specjaliści wychowawcy objaśniają dzieciom i młodzieży, łącząc to powoli z nauką czytania i pisania. Jako jeden z pierwszych głosił tu Campanella tzw. poglądowość w nauczaniu, która później przyjęła się w pedagogice i dziś szeroko jest stosowana. Radził on łączyć w nauczaniu teorię z praktyką, czyli wiedzę z umiejętnością, gdyż w państwie Słońca wszyscy musieli znać jakieś rzemiosło i brać udział w pomnażaniu wspólnych dóbr materialnych.

Jedną z osobliwości tej utopii jest obowiązkowe nauczanie języków obcych, wśród których poczesne miejsce zajmuje język polski. Czy Campanella był w Polsce, trudno stwierdzić, wiemy jednak z innych jego dzieł, że interesował się naszymi dziełami i dlatego, być może, kazał obywatelom swego utopijnego państwa mówić... po polsku.



„DĘBY ROGALINSKIE” (litografia)

woc. Plon jego życia jest tak obfity i różnorodny, że z prac jego można by zebrać kilkanaście wystaw, a z dzieł wyborowych skompletować wspaniałe muzeum. Jedyną namiętnością jego życia była sztuka. Zdradzał ją czasem dla muzyki. W Krakowie nie opuszczał żadnego koncertu. Siadywał w pierwszych rzędach krzeseł i często w szkicowniku uwieczniał co oryginalniejszych w typie muzyków (np. świetny rysunek, wybitnego hiszpańskiego wio-

Podkowiński „przywoła” z Paryża impresjonizm (1889), wydarzenie to nie zaskoczyło Wyczółkowskiego. Ma on już za sobą, na własną rękę prowadzone w tym czasie, studia plenierowe w czasie wycieczek na kresy wschodnie. Potem zajął sam dwukrotnie do Paryża, by skonfrontować swoje osiągnięcia z tym, co malują impresjoniści i wyjeżdża, teraz już na dłuższy czas, na Wołyn. I wtedy to zaczyna się przetwarzanie problemów malarstwa Moneta, którego zbiorową wystawę widział artysta w Paryżu. W zetknięciu sta-

Studia i okres warszawski

Zaczął swój start malarski normalnie, jak wszyscy wówczas „królewscy”, od warszawskiej Szkoły Rysunkowej kierowanej przez Gersona. Tu zdobył dyscyplinę rzetelnego rysunku, która mu była trwałym fundamentem przez cały bieg twórczości. Następnym etapem było Monachium, gdzie kształciła się cała elita polskich malarzy. Kończy te studia odznaczony medalem i wyjeżdża do kraju, do Krakowa, by u Matejki próbować sił w malarstwie historycznym. Powstają wtedy obrazy „Maryna Mniszówna”, później „Alina” na motywach wziętych z „Ballady” Słowackiego. Minimalny wpływ Matejki objawia się tylko w wyborze tematu historycznego; natomiast w wykonaniu obrazu widać rozwinięcie dawnych tendencji realistycznych, jak również pewnych problemów świetlnych.

Tego rodzaju nastawienie należy tłumaczyć stałym kontaktem z Warszawą, dokąd artysta wkrótce na stałe wyjeżdża. W Warszawie w tym czasie (r. 1884) powstało bardzo wartościowe środowisko artystyczne. Był to okres narastania kapitalizmu i budzenia się coraz to większej świadomości wśród mas

Wyczółkowski ze szczegól-



„AUTOPORTRET” (tusz)

kwiaty. I tu potrafił znakomicie wydobywać czy to akcenty barwne pastela („Kaczeńce”) czy olejną techniką, czy wreszcie akwarelą świeżość i miękkość tego delikatnego materiału („Róża”, „Anemona” i inne). Uwieczniwszy grozę i majestat Tatr w kolekcji znakomych dzieł sięgnął artysta z kolei do innego, również niewyczerpanego źródła, jakim jest piękno architektury zabytkowej. Zaczął od Wawelu, w którego romantycznych murach, i

trud swego długiego życia poświęcił dla sztuki, by ją darować narodowi, by wychowywała i podnosiła ducha całe pokolenia. Niezwykle skromny i szlachetny, posiadał dziwnie ujmujący wdzięk, który siedł u jego osoby taki sam, jak od jego sztuki. Pochowano go, zgodnie z ostatnią wolą, na wjeńskim cmentarzu we Włocławku pod Gościeradzem, wśród prostego ludu i wsi polskiej, której piękno ukochał, a nas nauczył je cenić.

LEŚNY PRZODOWNIK

Ojciec jego był leśnym robotnikiem, dziadek również. Mając lat dwanaście po raz pierwszy dostał się do lasu. Jak zwykle chłopak w tych warunkach zaczął od pracy przy przerzedzaniu lasu: miał małą siekierkę, sam dorobił do niej stylisko i tak pomagał rodzinie zarobić na chleb powszedni. Chociaż leśni robotnicy otrzymywali od dawnych właścicieli lasu niską płacę za dniówkę, cieszyli się mimo to, gdy trafiała się im praca. Matka małego Imrego pragnęła kupić koze i zbierała na to groszaki. Po całorocznym oszczędzaniu kupili istotnie łaciątko. Ośmioletnia młodsza siostrzyczka Imrego ją pasła.

Tego lata wielka susza zniszczyła wszystko, spaliła na nie łaskę, spopielila trawę po brzegach rowów. Dziewczyninie żal było kozy, która nie znajdowała nic do jedzenia, pognęła ją więc na skraj lasu, gdzie w cieniu wielkich drzew zieleniła się trawa i kusily świeże gałązki. Kozę, gdy tam dobrze sobie podjadła, dawała mleko jak należy. Matka cieszyła się, ale zawsze lekko przestregala dziewczynkę:

— Uważaj, kochanie, spójrz się kiedyś leśnik, a wtedy, o! biada twojej nieśczęsnej głowie!

Tak się też stało. Leśnik znalazł koze w szkodziu, porządnie obit dziewczynkę, a koze skorał nogami. Popłakana dziewczynka z krwawym nosem nonprawdliwie do domu okulała koze. Jakby tego nie było dość, leśnik okrzyknął całą rodzinę za złodziei i kanalie. Ani oica Imrego, ani jego samego, ani jego dwóch starszych braci nie dopuścił odtąd do roboty w lesie.

Wielka niedza spadła na rodzinę Imrego.

Potem ojciec i dwaj starsi synowie poszli do kopalni za rebańczy, a Imre obijał się w domu. Mieli jedną morgę dzierzawioną za pół plonu, że Imre pomagał matce uprawiać. Z roku na rok sadzili tam kartofle.

Imre tęsknił za lasem. Jego mała siekierka walała się osierocona w pustym chlewikiu kozim, bo i koze także trzeba było sprzedać, żeby za te pieniądze kupić chleba.

Po dwóch latach brutalny leśnik opuścił posadę u hrabiego.

Ciekawa to była historia.

Na zboczach Bałwana spaliła się ogromna część lasu. Czerwien płomieni pożaru zabarwiła cały dół nieba, a wiatr poróżnił daleko płonące zarzewie.

Sledztwo urzędowe ustaliło, że pożar został spowodowany nieostrożnością wycieczkowiczów.

Ale to było inaczej. Las został podpalony!

Troje zmówiło się do tego podpalenia: hrabia, bank z Miszkolca i jakiś przedsiębiorca z Budapesztu. Hrabia sprzedał pewną część lasu przedsiębiorcy na eksploatację, a bank sfinansował ten interes. Nie przerobione drzewo, które hrabia sprzedał, nie było warte ani połowy tego, co za nie otrzymał, ale przedsiębiorca i

bank nie na drzewie też chcieli zarobić. Uplanowali wszystko z istic pańskim szelmostwem, ubezpieczając ową część lasu od pożaru na olbrzymią sumę, po czym pozornie rozpoczęli wyrąb. Trwało to nie dłużej niż tydzień, a wtedy ubezpieczony las zaczął się palić.

Podpalił go ów leśnik.

Otrzymał za to dom i trzy morgi gruntu.

Starczyło na to z olbrzymiej sumy, którą — doczepione na czwartego współnika — wypłacił teraz Towarzystwo Ubezpieczeń. Całą górę pieniędzy zgarnęli do kieszeni hrabia, bank i budapeszteński przedsiębiorca. Połać lasu została zniszczona, ale co to kogo obchodziło!

Leśnik wprowadził się do nowego domu, otrzymanego w nagrodę za przestępstwo. Ten, który przyszedł na jego miejsce, wezwał z powrotem ojca Imrego i wziął go wraz z trzema synami do pracy w lesie.

Imre miał już wówczas lat szesnaście.

Chudy był u nich w domu naówczas wikt. Chudy był też i chłopak, kartoflanka i kasza jaglana nie tucza.

Imre byłby pragnął zostać drwalem, jak jego ojciec i dwaj bracia, nie chciano go jednak przyjąć do pary.

— Zostań sobie przy swojej małej siekierce, — mówili mu. — Piła nie nadaje się jeszcze do twojej ręki.

Drwale pracują w lesie parami. Aby ściąć twarde pień drzewa, jeden chwytając pilną prawą ręką, a jego towarzyszy z przeciwka — lewą. Dobry drwal równie sprawnie pilną włada ręką prawą czy lewą.

Imre wiedział, że leśni drwale raczej leworekiego szukają sobie do pary, bo takich bywa mniej, postanowił więc, że będzie się starał wzmocnić swoje lewe ramię.

Początkowo ciężko szła zaprawa. Ćwiczył przy pomocy kamieni. Chciał dojść do tego, by lewą ręką móc podnieść równie ciężkie bryły kamienia, jak prawą. Wielu się z niego śmiało: „Cóż to? Do cyrku się przygotowujesz?” Odpowiadał z godnością: „Przygotowuję się, żeby zostać drwalem”.

Po kilku miesiącach lewe ramię stało się muskularne. Wówczas zaczął je ćwiczyć w zrzeczności. Przeszło jeszcze parę miesięcy, a może i pół roku, nim wyćwiczył lewą ręką, by sprawnie władała i siekierą i toporem. Nigdy nie tracił otuchy, był cierpliwy i wytrwały aż do końca.

Kiedy już do tego doszedł, poprosił jednego z braci, by go ten wypróbował do pary jako leworekiego przy pilowaniu. Oczywiście, zrazu nie potrafił utrzymać tego stalowego narzędzia o wilczych zębach w linii prostej. Piła się zacinała, ostrze się raz po raz wichrowało

PIOTRUŚ JEST SYNEM NADLEŚNICZEGO W BORACH BUKOWIŃSKIEJ WYŻYNY NA PÓŁNOCO-WSCHÓD OD BUDAPESZTU. PONIEWAŻ DAWNIEJ MIESZKAŁ W STOLICY, WSZYSTKO W NOWYM OTOCZENIU ZAJMUJE GO NIEZMIERNIE. POSTANAWIA PISAĆ RODZAJ NOTATEK DLA KOLEGÓW W MIEŚCIE, GDZIE W ZIMIE I NADAL CHODZI DO SZKOŁY. KSIĄŻKA ALEKSANDRA LESTYANA „BUKOWINA MUZYKUJE” SKŁADA SIĘ Z SZEREGU ROZDZIAŁÓW, Z KTÓRYCH KAŻDY OPISUJE NOWE JAKIEŚ PRZEŻYCIE PIOTRUSIA NA TLE OLBRZYMIJ PUSZCZY GÓRSKIEJ. KSIĄŻKA TA WYJDZIE NIEBAWEM W „NASZEJ KSIĘGARNI”.

Z czasem, pomalutku Imre poczuł, że piła w jego lewym ręku ślizga się gładko. Brzęcząca jej melodia już się nie zacina i piosenka drwali dobiega do końca:

Zyg-zyg, zyg-zyg, dalej, dalej.

Piła rżną stary buk drwale, dobre będzie, daję słowo zyg-zyg, drewno narzędziowe.

Pracownicy leśni już w kolebce uczą się piosenki pily. Nikt nie wie, kto ją napisał, ani kto do niej ułożył muzykę. Urodziła się jak się w lasach rodzą śpiewki ptasie.

Szandor Mako szukał sobie właśnie kompana do pily na lewą rękę do pary, wypróbował Imrego i próba się udała.

Tej zimy, kiedy po raz pierwszy poszedł z drwalami do lasu skończył lat osiemnaście. Dwa lata to trwało, ale dopiął czego chciał. Mając lat dwadzieścia rozstał się z Szandorem i zajął miejsce ojca do pary z Gabrielem Horwatem.

Ojca Imrego spotkało nieszczęście: podpiłowane drzewo runęło w niewłaściwym kierunku i przywaliło staremu drwale.

Twarz leśnego przodownika posępnie, gdy o tym wspomina:

— Po pogrzebie ślubowałem sobie, że będę usiłował wynaleźć taki nowy sposób obalania drzewa, który by nie groził życiu drwali niebezpieczeństwem. Długo łamałem sobie głowę, aż wpadłem na myśl, że można by odpowiednio regulować kierunek upadku drzewa za pomocą przyrządu zrobionego z dwóch młodych drzew skrzyżowanych u góry. Widły te ujmują w górze pień podpiłowanego drzewa i mocno je z jednego boku podpierają, tak, że może ono upaść tylko na stronę przeciwną. Sporządziłem to, wypróbowałem ów przyrząd i okazał się odpowiedni.

Z obu stron ust mowiącego zarysowała się pełna gorczy brzoza:

— Zrazu daremna była moja praca. Kiedym ją pokazał w dominialnym leśnictwie, odmrukneli tylko, że: „Dobre to, owszem, ale bardzo kosztowne. Szkoda pieniędzy...”

— Czy tak wiele by kosztowało?

— Grosze! Tylko, że państwo, mający zwyczaj raz

po raz płacić tysiącguldenowymi banknotami za kolację, mocno trzymali się za kieszeń, kiedy chodziło o życie biednego robotnika. Powiedzieli: niech drwale lepiej uważają przy obalaniu drzew, to nie nie kosztuje...

Nagle twarz mu się rozpromieniła. Rozpromieniła się, jak kiedy niebo się rozchmurzy, a kolorowy most tęczy utworzy łuk nad horyzontem:

— Po wyzwoleniu wprowadzono ten nowy przyrząd do nadawania kierunku przy ścinianiu drzew i wtedy dopiero nabrał on wartości dla ludzi. Teraz używa się go, kiedy warunki tego wymagają...

Przy tej okazji po raz pierwszy zwrócił na niego uwagę administracja lasów. Ale i on na coś zwrócił uwagę: na partię!

Naraz zrobiło się koło mnie jaśniej, — ciągnął dalej swoje wspomnienia. — Co dzień jakby zapalała mi się w głowie nowa świeczka. Wiele drzewa potrzeba było na odbudowę zniszczonych mostów, kolei, fabryk, budynków. Pracujący potrzebowali mebli, opału... Dawne metody eksploatacji stały się przestarzałe... Nowe słowa wpadły mi w ucho: współzawodnictwo pracy!... A potem jeszcze dwa: przekroczenie normy! Z polecenia partii Imre rozpoczął pierwsze współzawodnictwo pracy wśród bukowińskich drwali. Jak przystoi komunistom, szedł na czele z dobrym przykładem. Ze swoim kolegą od pary wyrobili największą ilość drewna narzędziowego, a Imre osobiście wykonał największą pracę ponad normę.

...Był pierwszym we współzawodnictwie.

Wyróżniono go: został przodownikiem pracy.

Postano go do zawodowej szkoły leśnictwa.

I przedtem jasną była dla niego różnica pomiędzy gospodarką leśną hrabiego, a leśną gospodarką socjalistyczną. Na własnym swym życiu doświadczył przecie tej różnicy, odczuł ją. Ale jako nowy człowiek nowego lasu naprawdę osiągnął dojrzałość dopiero w szkole zawodowej.

Napis w wykładowej sali głosił czerwonymi literami: „Im więcej będzie wiedzy, tym las stanie się bogatszy, tym więcej będzie chleba.”

I jeszcze jeden napis: „Ucz się, abyć mógł nauczać”.

Oba te napisy Imremu zapadły w serce.

Odtąd żyją w nim oba.

Dlatego to oczy mu jaśnieją pogodą, jak niebo w lecie.

— Dziwowałoby się nasi zupełne takie same. Zrobiło mi się trochę nieswojo, gdy je zobaczyłem. Oj, bo dawne to były czasy, kiedyśmy się z nimi spotykali po raz ostatni, już ze dwadzieścia lat temu! Wuj Marek Diöri, który obok mnie siedział w ławce, już ze czterdzieści lat jak nie widział tablicy, kredy i gąbki: „Byle by się nie gorszego nie stało!” — żartował dobrodusznie. — „To się teraz pięknie z sobą zaprzyjaźnimy.” No, więc i ja także zacząłem się z nimi zaprzyjaźniać.

W pierwszych dniach często rannymi spać mu się chciało w sali wykładowej. Bardzo go to zaskoczyło, bo przecie w lesie robota zaczyna się o rannym świecie, a ludzie nigdy nie bywali śpiący. Ze wszystkimi kolegami było to samo. W szkole mieli i pomieszczenie i utrzymanie lepsze niż w domu, a mimo to ubyto im wagi. Przyszedł do nich lekarz, starannie ich zbadał, ale tylko pokręcił głową:

— Nie rozumiem!... Nie rozumiem!...

— Ale ja rozumiem! — uśmiechnął się przodownik Imre. — To z powodu powietrza pokojowego! Nie jesteśmy do niego przyzwyczajeni, ale zaradzimy złemu i zwalczymy tę drobną trudność.

Zebrał dokoła siebie towarzyszy:

— Podejmijmy się dobrovolnie co rano, zanim się zacznie nauka, przez dwie godziny pracować na powietrzu. Skopmy ogród dokoła budynku, posadźmy kwiaty, posadźmy warzywa. Poróbmy ławki, szafy, stoły dla tych, co tu przyjdą po nas.

Jeden z uczniów sprzeciwił się:

— Ledwo i tak znieść możemy tyle nauki! Zobaczycie, że będziemy jeszcze bardziej senni i że jeszcze więcej wagi nam ubędzie, jeśli podejmujemy dodatkową pracę.

Ale Imre nastawał:

— Posłuchajcie mnie: Wiem, co mówię!

Przez cały wieczór się spierali. Potem rozstrzygnięli przez głosowanie, i pozycja Imrego została przyjęta.

Miał rację. Po ruchu na świeżym powietrzu, po rannej pracy fizycznej nie kleiły im się oczy w sali wy-

kładowej i zaczęli nagle przybierać na wadze. Do czasu, kiedy kurs się skończył, już egzaminy zdawali w szkolnych ławkach, które sami porobili. Piękny, długi dębowy stół wraz z wygodnymi ławami stał już także w jadalni, a ponadto Imre sporządził taki stolik do szkolnego radia, że schodził się, by go podziwiać.

W szkole zawodowej otrzymywali taką samą płacę, jak gdyby pracowali w lesie, każdy w swoim zawodzie.

— Za ten zarobek zakupimy książek! — proponował towarzyszom przodownik, — kształćmy się dalej!

Wujek Diöri, najstarszy w szkole, był pełen zapału:

— Imre ma rację. Usiadłem na szkolnej ławie z tą moją starą głową, widzę dziś litery tylko przez okulary, a mimo to pojadę do domu o dziesięć lat młodszym.

Uczniowie szkoły zawodowej opuścili kurs obładowani książkami. Leśny przodownik dziś jest kierownikiem brygady na wyżynie. Mówi pogodnie:

— Byłem też na wczasach nad Bałatonem... To piękne, wielkie jezioro. Najbardziej podziwiałem zachody słońca. Tu, między górami, nigdy nie widać chwili, kiedy złoty talerz zapada za horyzontem. A tam nagle zabarwia wodę na purpurowo i cicho się w niej zanurza, jakby pragnął się wykapać... Jedyny raz widziałem na niebie coś takiego, za lat dziecinnych, kiedy był leśny pożar... Smaczny jest bałatoński fogosz. Ciągłe rozlega się tam muzyka, śpiew — mówił dalej. — Na brzegu latają sobie mewy, w trzcinie kwaczą dzikie kaczki. A jeszcze — jeden z towarzyszy partyjnych nauczył mnie wiosłować. Jest spawaczem w Czerwonym Czeplu, stachanowcem.

Po kilku dniach odwiedziłem rodzinę przodownika we wsi. W pełnym kwiatów ogródku siedział sobie mały jego synek, przeglądając książkę z obrazkami.

— Czym będziesz jak dorosniesz? — zapytał go ojciec.

— Inżynielem leśnym! — wyszeptał czterolatek Emuś.

Co znaczy: inżynierem leśnym.

Do tego czasu zielonością okryje się każda łysa plama na wyżynie, a młody las ze świerczków wyhodowanych w szkółce leśnej, a posadzonych w tym roku przez brygadę przodownika, będzie miał wówczas lat dwadzieścia.